

BYŁO OKOŁO JEDENASTEJ przed południem jesiennego dnia w połowie października. Słońce ani myślało grzać, a zachmurzone niebo niosło dla pogórza obietnicę rześistej ulewy. Miałem na sobie błękitny garnitur, granatową koszulę, krawat i poszetkę, czarne brogisy, a do tego wełniane skarpety tego samego koloru, z granatowymi wzorkami w kształcie zegarów. Byłem trzeźwy i świeżo ogolony, wyglądałem schludnie, ale nie przez wzgląd na to, co pomyślą inni – tak po prostu powinien się prezentować każdy dobrze ubrany prywatny detektyw. Szedłem z wizytą do czterech milionów dolarów.

Główny hall posiadłości Sternwoodów był wysoki na dwa piętra. Nad drzwiami wejściowymi, przez które dałoby się przegonić stado indyjskich słoni, znajdował się duży witraż, a na nim rycerz w ciemnej zbroi ratował przywiązaną do drzewa damę. Ta nie miała na sobie odzienia, okrywały ją tylko długie włosy, taktownie spływające po jej nagim ciele. Rycerz uniósł przyłbicę, chcąc się zapewne przedstawić, i majstrował przy zaciśniętych supłach, ale bez powodzenia. Przystanąłem, zastanawiając się, czy gdybym tu mieszkał, któregoś dnia nie wlaźłbym na górę i mu nie pomógł. Nie wyglądał, jakby się szczególnie starał.

Z drugiej strony hall wieńczyły przeszklone drzwi balkonowe, a za nimi rozciągał się szeroki szmaragdowy trawnik sięgający bielutkiego garażu, przed którym szczyły ciemnowłose młody szofer w połyskliwych czarnych spodniach odkurzał bordowy kabriolet marki Packard. Rosnące za garażem równo przystrzyżone dekoracyjne drzewka wyglądały niczym zadbane pudelki. Dalej zobaczyłem sporą szklarnię z kopułowym dachem, a za nią jeszcze więcej drzewek. Teren posiadłości okalały masywne i nierówne, lecz kojące widokiem górskie zbocza.

Wschodnie skrzydło hallu zdołały wolno stojące schody wyłożone płytkami. Prowadziły na galerijkę z barierką z kutego żelaza, wprost pod jeszcze jeden witraż z romantycznym motywem. Wolne miejsce pod ścianami zagracono wielkimi solidnymi fotelami obitymi czerwonym pluszem, które wyglądały tak, jakby nikt nigdy na nich nie siadał. Po stronie zachodniej, na samym środku, znajdował się ogromny pusty kominek z mosiężnym czteropanelowym parawanem na zawiasach i gzymsem ozdobionym na rogach kupidynkami. Nad nim zawieszono słusznego rozmiaru portret olejny, a jeszcze wyżej za szkłem gabloty umocowano skrzyżowane, podziurawione kulami bądź nadgryzione przez mole proporce kawalerskie. Obraz przedstawiał pozującego sztywno oficera w pełnym rynsztunku, prawdopodobnie z okresu wojny meksykańskiej. Żołnierz mógł się pochwalić zadbanymi bujnymi wąsami, srogim spojrzeniem czarnych jak węgle oczu i prezencją człowieka, z którym lepiej było dobrze żyć. Pomyślałem, że to pewnie dziadek generała Sternwooda. Nie

mógł to być przecież sam gospodarz, choć miał już ponoć na karku tyle wiosen, że podejrzliwie patrzono na jego niepokojąco młode, ledwie dwudziestoparoletnie córki.

Nadal wpatrywałem się w te gorejące czarne oczy, kiedy na przeciwległym końcu hallu, pod schodami, otworzyły się drzwi. Nie był to jednak powracający do mnie kamerdyner, a dziewczyna.

Miała dwadzieścia lat, może trochę więcej, była drobniutka, ale mimo delikatnej budowy nie wydawała się krucha. Nosiła jasnoniebieskie spodnie i musiałem przyznać, że leżały na niej pierwszorzędnie. Szła, jakby unosiła się nad ziemią. Jej falujące ciemne włosy przycięto znacznie krócej, niż wymagała tego obowiązująca moda, lansująca fryzury na pazia z podwiniętymi końcówkami. Dziewczyna miała ciemnoszare oczy, które wydały mi się zupełnie bez wyrazu. Gdy podeszła bliżej, uśmiechnęła się, obnażając niewielkie, ale ostre i drapieżne zęby, białe niczym świeże wnętrze skórki pomarańczy i lśniące jak porcelana. Błysnęły, by zaraz zniknąć za jej cienkimi, mocno zaciśniętymi wargami. Miała bladą, niezbyt zdrową cerę.

– Dryblas z ciebie, co? – powiedziała.

– Nie prosiłem się o to.

Wybałuszyła oczy, wyraźnie zmieszana. Mimo że dopiero się poznaliśmy, mogłem zauważyć, że raczej nie jest zbyt bystra.

– I przystojniak – dodała. – Ale pewnie już to słyszałeś. Mruknąłem coś.

– Jak się nazywasz?

– Reilly – odparłem. – Kundel Reilly.

– Zabawne imię.

Przygryzła wargę i lekko przekrzywiła głowę, wpatrując się we mnie. Przymknęła powieki tak, że niemal połaskotała rzęsami policzki. Następnie otworzyła oczy, jak gdyby unosiła teatralną kurtynę. Znałem tę sztuczkę. Miała sprawić, że przewrócę się na plecy z łapami wystawionymi do góry.

– Jesteś bokserem? – odezwała się, skoro ja milczałem.

– Niezupełnie. Łapsem.

– Aha. – Zarzuciła gniewnie głową i jej włosy zalśniły w cokolwiek mdłym świetle dużego hallu. – Stroisz sobie ze mnie żarty.

– Yhym.

– Co?

– Daj już spokój – powiedziałem. – Słyszałaś.

– Przecież nic nie powiedziałaś. Lubisz się droczyć.

Podniosła kciuk do ust i przygryzła go. Był to palec o dziwnym kształcie, cienki i kościsty, jakby zapasowy, bez wypukłości przy pierwszym stawie. Ssała go powoli, obracając, niczym niemowlę smoczek.

– Strasznie jesteś wysoki – powtórzyła i zaśmiała się, nagle rozbawiona, po czym obróciła się powoli i zwinnie, bez odrywania stóp od ziemi.

Ręce opadły jej wzdłuż ciała i nachyliła się do mnie, stając na palcach. Poleciała wprost w moje ramiona i musiałem ją złapać albo pozwolić, żeby rozbiła sobie głowę o wyłożoną mozaiką podłogę. Chwyciłem ją więc pod pachy, a ona momentalnie zwiotczała, jakby miała nogi z waty. Musiałem ją objąć, aby nie upadła. Gdy oparła głowę na mojej piersi, spojrzała na mnie i zachichotała.

– Uroczy jesteś. – Zaśmiała się. – Ja też.

Nie odpowiedziałem. Kamerdyner, rzecz jasna, wybrał akurat ten moment, aby wejść do hallu przez oszklone drzwi i zobaczyć, jak ją do siebie przyciskam.

Nie wydawał się jednak tym przejęty. Był szczupłym, wysokim siwiejącym mężczyzną dobiegającym sześćdziesiątki, choć równie dobrze mógł liczyć sobie kilka lat więcej. Miał błękitne, idealnie obojętne oczy, a jego skóra wydała mi się gładka i jasna. Poruszał się jak ktoś dużo młodszy. Szedł ku nam powolnym krokiem, a dziewczyna, dostrzegłszy go, oderwała się ode mnie, pobiegła czym prędzej na schody i przeskakując kolejne stopnie z sarnią gracją, zniknęła, zanim zdążyłem głęboko odetchnąć i wypuścić z płuc nabrane powietrze.

Kamerdyner odezwał się bezbarwnym głosem:

– Generał pana przyjmie, panie Marlowe.

Zamknąłem rozwarte usta i skinąłem głową.

– Kto to był?

– Panna Carmen Sternwood, proszę pana.

– Oduczcie ją tego. Nie jest już dzieckiem.

Spojrzał na mnie z pełną powagi grzecznością i powtórzył to, co przed momentem powiedział.